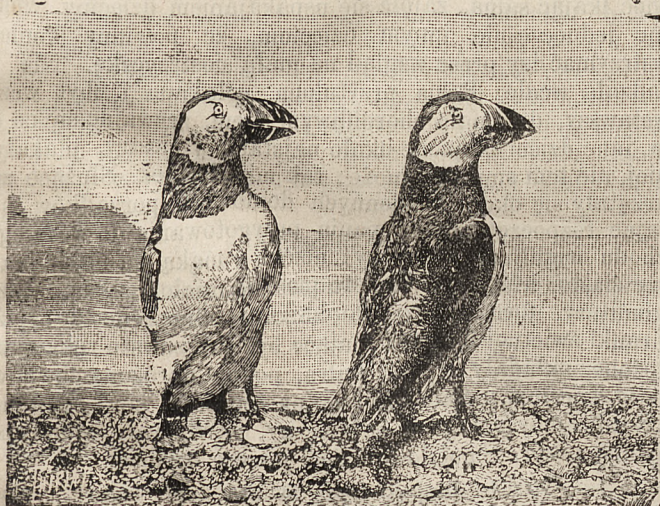


TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



MASKONUR (TOPOREK).

Wodne ptaki maskonurami zwane, przedstawione na rycinie naszej, odznaczają się wielu odrębnymi cechami, które zwróciły na nie uwagę ornitologów. Ojczyzną maskonurów zwanych w języku naukowym *Fratercula Armoricana* jest Grönlandya, Norwegia i wyspy Faröer. Z nadejściem jednak wiosny przybywają gromadnie do małej skalistej wysepki *Ruric*, w Kanale la Manche, aby tam sobie pobudować gniazda. Maskonur jest wielkości dużego gołębia, grzbiet, ogon i skrzydła ma czarne, dokoła szyi czarną połyskliwą, niby aksamitną opaskę, piersi i podbrzusze niezwyklej białości, nogi zaś szkarłatnego koloru, których połączone błoną palce, są opatrzone silnymi szponami. Lecz najciekawszą osobliwością u maskonura jest dziób jego, który w porze budowania gniazd pokrywa się gru-

bym ochronnym pancerzem, kształtem swym przypominającym toporek. Podziwiać tu musimy przezorną Opatrzność, zaradzającą potrzebom wszystkich żyjących istot. Ptaki te bowiem nie gnieźdzą się jak inne na powierzchni ziemi, lecz w rozpadlinach skał, gdzie za pomocą silnych i ostrych dziobów, robią wydrążenia głębokie, w których budują swe gniazda. Samce pracują tu wspólnie z samicami, czując instynktownie, że należy im się kryć przed okiem ludzkim, gdyż jaja ich i młode są bardzo poszukiwane jako smaczne i pożywne. Gdy samiczka gniazdo mchem zaściela, składa w niem jedno tylko jajko, a następnie troskliwie pielęgnuje wylęgłe pisklę, dopóki to nie podrośnie i nie puści się na morze, z kąd już nie powraca. Stare pozostają na wyspie jeszcze czas jakiś i wtenczas upierzenie ich traci na swój świetności, z dzioba opada owa tarcz ochronna, przez co kształt jego staje się prosty, stożkowaty, nogi nabierają barwy żółtęj; słowem ptak zmienia wtenczas swój wygląd zewnętrzny zupełnie; tem też właśnie zaciekał długi czas przyrodników, którzy brali go po tej przemianie za całkiem odmienny gatunek.

ZBUDZONE SUMIENIE.

Noc była głęboka, grudniowy wichur wyl, roznosząc tu-many śniegu po białych przestworzach, zasypując chaty i lasy. Prócz tego wichru, świat cały zdawał się spać lub zamierać w groźnych objęciach zimy. I stara karczma pod lasem, ledwo wyglądająca trochę z zasp śnieżnych, spała także, lub może nawet wcale zamieszkaną nie była, tak z pewnością sądziłby każdy, kto by przypadkiem koło tej gromady gruzów czarnych, białym przysypanych śniegiem, pod ową noc przejeżdżał. Ale zmieniłby zdanie, gdyby zjechałszy z drogi zechciał się do rudery tej przybliżyć. Czarne było to zbliżka

zarówno jak zdaleka, bo starannie wszystkie szpary i otwory były tam pozalepiane i pozasłaniane, ale huczny gwar i brzęk kubków wydostawał się z wnętrza, mimo wszelkich zaporów. Liczono oczywiście na ustronność miejsca i słusznie: rzadko kto przejeżdżał drożyną uboczną, a i taki nie zatrzymał się zazwyczaj przy karczmie, która wyglądała jakby od drogi pod las uciekła. A jednak pełno w niej było gości w ową noc z 23 na 24 grudnia. Suty ogień płonął na kominie, a arendarz z żoną usługiwali gościom, rozdając na wszystkie strony napitek i zakąski z chleba z serem, lub porcey nadziewanego szczupaka. Izba przepelniona była gwarem rozmowy, w jakimś szczególnym niezrozumiałym języku. Wszyscy goście krzyczeli na raz, jakby kłócąc się bezustannie, tak zawzięcie, że nie uważali wcale iż małe boczne drzwiczki uchyliły się i zgięty w nich do połowy, wszedł drab ogromnego wzrostu.

— Hu!... — krzyknął niespodzianie, aż się karczma zatrzęsła, gwar ucichł i wszyscy spojrzeli ku niemu, on jedną ręką wziął się w bok, drugą ujął podaną mu skwapliwie przez arendarza miarkę, wychylił i rzekł wiodąc dzikim wzrokiem po obecnych:

— Jest robota!

— Dalej.... — zahuczano gwałtownie i wszyscy otoczyli przybyłego; on wychylił drugą miarkę, siadł ciężko na ławie i mówił:

— Pan z Limowa wziął dzisiaj z miasteczka 10,000 złotych za zboże...

— I jedzie z niemi do dom?... hejże do roboty... w lesie trzeba się zacząć — zawołano, rzucając się ku drzwiom.

— Już przyjechał; śpi w swoim dworze w Limowie — machnął ręką nowo przybyły.

— A czemużeś wprzód znać o tem nie dał?

— A czemużeście wy się o tem nie dowiedzieli? Ja nie byłem w tych stronach, dopiero w tej chwili przybywam.

— Cóż teraz zrobić?

— Napaść znienacka i zabrać pieniądze.

— Szlachcic ma broń... będzie strzelał...

— Ale często z domu wyjeżdża: niech jeden z nas pilnuje dworu w Limowie i da nam znać gdy wyjedzie.

— A jeżeli wyjedzie z pieniędzmi?

— Tem lepiej, spotkamy się w drodze: rzecz w tem właśnie żeby odgadnąć czy pojedzie z pieniędzmi, czy bez nich.

— To Chlust, niech idzie pilnować, on ma rozum na to!

— Niech idzie Chlust!

— O!... wszędzie ja! zawsze ja! — mruczał olbrzym nowoprzybyły, nie miał iść ochoty bo był zdżożony, ale pod naciskiem woli całej bandy, musiał uleść. Wyszedł przebrawszy się za starca żebraka. W parę godzin później wpadł napowrót do karczmy, wołając:

— Wyjeżdża o świcie!... z żoną i dwoma parobkami! Zostaje kilkoro dzieci ze służbą! Ja wproszę się tam na przyszłą noc, otworzę, wejdziecie cicho, jeżeli się uda załatwić nim się na wsi dowiedzą, robota będzie wyborna! Jeżeli zechcą robić hałas... trzeba ich *uciszyć*...

— A jeżeli jedzie z pieniędzmi!...

— Nie; przy mnie dopadł posłaniec z listem... jadą do umierającego ojca, ani im w myśli pieniądze. Dalej do roboty!

Za chwilę później karczma była pusta. Wychodząc Chlust powiedział:

— Ukryjcie się w pobliżu dworu, żebym miał was pod ręką na zawołanie.

* * *

W skromnym dworze Limowieckim panował straszliwy zamęt. Pani spłakana, wybierając się w podróż, upominała poraz setny nieledwie służbę, aby dawała bacność nad dziećmi, których zabierać było niepodobna dla nagłości podróży i zimnej pory. Pan, błądy jak chusta wydawał także polecenia

— Zosiu!... najstarsza jesteś, pilnuj rodzeństwa! Na miłość boską nie pozwól Rózi płakać, żeby znów gorączki nie dostała!... — zawołała matka siedząc już w powozie. W kwadrans później podróżni znikli na zakręcie drogi. Dzieci zanosili się od płaczu. Starsze płakały nad chorym dziaduniem; młodsze znów nad rozstaniem chwilowem z odjeżdżającymi, a malcy: za wieczszą, za gwiazdką, za zmarnowaniami świętami, które nadchodziły podczas nieobecności rodziców. Bo wszystko przepadło oczywiście; a właśnie każdy spodziewał się takiej przepysznej gwiazdki, jak corok zresztą. Śute przygotowania do wieczery, także zmarnować się musiały, bo pani Limowska, rzadna i niebogata, nie trzymała kucharza ani gospodyni, pilnowała sama kucharki i przykładła ręki własnej do wszystkiego, więc bez niej nie umiano nic poradzić. Nauczycielka odjechała przed dwoma dniami na święta do swoich rodziców, stało się przeto, że na czele całego domu, znajdowała się teraz trzynastoletnia Zosia najstarsza, płacząca niemniej głośno jak reszta dzieci. Trzeba jednak wyznać, że Zosia więcej od innych miała powodów do płaczu, bo zimno było porządne, więc myślała już się rodzice pozaziębiają?... albo ze zmartwienia pochorują?... a przecież i przez las przejeżdżać będą, a w lesie są wilki!... mówią też ludzie, że i banda złoczyńców jakichś krąży w okolicy... żeby choć futer rodzicom nie zabrali, bo wtedy to już pewna choroba z zaziębienia!... O Boże, Boże!...

Było w istocie czego płakać i ręce załamywać, gdy takie myśli szarpały trzynastoletniem serduszkem, co dowodziło z resztą, że Zosia była już myślącą dziewczynką. I dla tego też płacząc serdecznie, pomyślała jednak wkrótce o tem, o czem matka jej ostatnio przykazywała pamiętać:

— Na miłość boską pilnuj rodzeństwa! Nie pozwól Rózi płakać, żeby znów gorączki nie dostała! — Różia była wątlę dzieckiem i lekarze kazali ją strzedz od wzruszeń. Zosia więc łkając sama, zajęła się uspakajaniem dzieci, wmawiając jednocześnie innym dzieciom, że powinny koniecznie wstrzymać łzy przez wzgląd na małą siostrzyczkę. Nie przesadzała wcale; Różia przytulona, spłakana i zbyt wczesnie wstawszy, drzemała chorobliwym snem, zrywając się co chwila, inne dzieci skupione około najstarszej siostry, płakały silnie, ale tem smutniej może; tak minął ranek. Służące zeicha krzatały się około codziennych domowych porządków, sprzątając rozpoczęte przez panią przygotowania do wesołego obchodu wigilijnej wieczery: niecka z mąką na najdelikatniejsze ciasto, które dziś dopiero piec się miało, cukier, rodzenki, konfitury, formy, wszystko zniknęło odnoszone do spiżarni, firanki świetnej białości, mające być jak zawsze ręką pani założone, składały się do kufra, pokoje narażone chwilowo na miły dzieciom nieład, którego następstwem miał być tem miłszy zdwojony porządek świąteczny, przybierały codzienny pospolity pozór. Smuciło to dzieci jeszcze bardziej:

— Otóż to dopiero będą święta tego roku!... myślały zrozpaczone. Zosia kazała podać śniadanie i pocichu namawiała młodszych aby poszli do jadalni, dając im do zrozumienia, że sama nie może się ruszyć z miejsca, aby nie zbudzić Rózi, która właśnie drzemała u niej na kolanach; spojrzano po sobie, wzruszono ramionami i nikt nie poszedł; nikomu jeść się nie chciało. W tem szept, jakkolwiek bardzo cichy, zbudził chorą. To Józefka, pytała po cichutku o coś Janowej, Janowa zaś, zastanowiła się i odrzekła:

— Oczywiście że nie, niech ją Jasek zabierze napowrót, ktoby tam o tem myślał przy zmartwieniu i ktoby potrafił...

Różia krzyknęła!

-- Zabierze?... Czy już przyniósł?... Dziadzio ciężko chory, mama i ojciec odjechali i choinkę Jasek napowrót zabierze, nie będzie gwiazdki, nic nie będzie, nic!... — wołała Różia z nowym wybuchem płaczu, zrozumawszy jakimś niepojętym sposobem sępy służących.

Zosia zerwała się nagle.

— Nie, tak być nie może dłużej!... zawołała — wszyscy chodzą jak błędni, już blisko południe, a nikt śniadania nie jadł, Różia się rozechoruje, porządek cały domowy przepadnie, a przez to nic a nic dziadzi nie pomożemy! Niech Janowa

idzie do kuchni; piecze i gotuje co trzeba, stół się nakryje w czeladnej izbie, zaprosi się Walków, żeby było weselej, bo oni są nam zawsze życzliwi, kto żyw w domu, siądzie do wigilii i my też razem. W jadalni nakrywać nie można, bo siadłszy w zwykłym miejscu bez rodziców, dziadzi i babci, popłakali-byśmy się znowu! Niech Jasiek nie zabiera tego co przyniósł! Józefko, nie chowaj firanek! nie wielka rzecz je zawiesić, co potrafię to zrobię wszystko jak mama!

Dokończając tych słów, chwyciła firanki i natychmiast upinać je zaczęła. Płacz ustał, jak pod czarów działaniem, dzieci spoglądały na starszą siostrę zdziwione, nawet Różia wytrzeszczając oczki pomyślała, że Zosia w jednej chwili staje się jakby do mamy podobną; skryta tajemnicza nadzieja, że nie wszystko jeszcze przepadło, kiedy Jasiek dostał rozkaz nie nie zabierać, ożywiła zmartwionych; nawet służące mocno zdziwione w pierwszej chwili, potem żywo zabrały się pełnić pierwsze w życiu od panienki otrzymane rozkazy. Ruch i czynność napełniły dwór, i wszystkim mimo zmartwienia lżej się jakoś zrobiło na sercach.

Nad wieczorem wszystko było gotowe, chociaż oczywiście nie tak jak bywało przy rodzicach, jednak dom wyglądał odświętnie, a dla Zosi każdy miał wyrozumienie; ona tymczasem przepędziwszy z godzinę w salonie, wyszła zamykając drzwi szczelnie za sobą, zupełnie jak mama co rok robiła:

— Co też ona tam robiła? Co mogła robić bez mamy? Jednak ta Zosia musiała chyba urość dzisiaj nagle!... — szeptały dzieci, patrząc na nią z mimowolnem uszanowaniem.

— Wszystko gotowe, pójdźmy do stołu, oto gwiazdka wschodzi! — powiedziała Zosia. Wzięła Różię za rączkę i otoczona małcami weszła do czeladnej izby, gdzie długi stół stał nakryty w pośrodku, z opłatkami na talerzu u jednego krańca, a wszyscy słudzy, parobcy i Walkowie porządni gospodarze, a najbliżsi ze wsi sąsiedzi — zaproszeni w gościnie, stali już rzędem, postrojeni świątecznie, okrutnie zaciekawieni i ujęci zarazem niezwykłym pomysłem panienki, której powaga naj-niespodziewaniej jakoś objawiona, dziwne na nich robiła wrażenie. Zosia pozdrowiła ich, mówiąc: „Niech będzie pochwalony” i przystąpiwszy do stołu, wzięła opłatki, zwracając się z niemi ku Walkowi, gdy w tem spojrzawszy przypadkiem w odległy kąt izby:

— Kto tam stoi pod piecem? — spytała.

— Ah, to staruszek dziadzia jak gołąbek siwy, żebrak wpół zmarznięty, przyszedł ażeby się rozgrzać i posilić—odpowiedziano.

A Zosia na to:

— Ubogi w domu, to Chrystus w gościnie, niechże więc ten dziadek zasiądzie z nami do stołu.

— Pójdźcie dziadku, proszę przełamać się ze mną opłatkami. Życzę wam zdrowia i dosiego roku! — dodała podchodząc do starca, który wahał się, zdziwiony, po chwili przecież przełamał z Zosią opłatek i usiadł na wskazanym miejscu. Jeżeli starsza siostra chciała oderwać umysł dzieci od dręczącego je zmartwienia, to dokazała swego: były tak zdumione i zajęte, że po dziecinnemu zapomniały chwilowo o wszystkim. Wszyscy zresztą byli zdumieni, ale ich zdumienie graniczyło z uwielbieniem dla panienki. Nie dobrze zdawano sobie sprawę z tego co zrobiła, ale spoglądano na nią z coraz większem uszanowaniem.

— Ach, jaka ona rozumna — szeptano! i zajmowano się tak bardzo panienką, że przeto mniej nawet zważano na niespodzianego gościa. Dziadzia tymczasem wyszedłszy z ciemnego kąta, okazał się dziadem ogromnym, acz mocno zgarbionym, białe jak śnieg włosy, wąsy i broda zakrywały mu twarz tak, że ledwo było widać błyszczące oczy, a i te spuszczał ciągle unikając spotkania wzroku innych. Zosia zajęta przedewszystkiem rodzeństwem, a zwłaszcza słabowitą Różią, wcale nie zważała już na dziada, jedna rzecz przecież mocno ją w nim zdziwiła, a nawet wszystkich zresztą, starzec żebrak posadzony na pierwszym miejscu u stołu, powinien był

odmówić głośno modlitwę choćby najkrótszą, a on nawet się nie przeżegnał... Zosia więc powstawszy odmówiła modlitwę, poczem zabrano się do jedzenia szepcząc:

— Nie chrześcijanin on czy co?

Długo byłoby opowiadać jak po wieczery, pożegnawszy panienkę, włóścianie gawędzili o niej w swych chatkach, a dłużej jeszcze gdyby opowiadać trzeba co jednocześnie działo się we dworze. Zosia zajmowała się wraz z matką przygotowaniem podarków dla rodzeństwa, była we wszystko wtajemniczona, prócz tego co ją samą osobiście dotyczyło, wszystko też było już na ostatni dzień gotowe. Łatwo zatem ku wielkiemu zdumieniu dzieci, mogła Zosia choinkę przystroić. I tak, dzień rozpaczliwie zaczęty, kończył się serdeczną uciechą wszystkich, połączoną z nieopisanem zdziwieniem...

— Ależ ta Zosia to prawie mama!... — szeptały zdziwione dzieci.

(d. n.)

W imienniku Marysi Ch.

Mówią ludzie że na świecie

Szczęście nie istnieje...

— Ależ Pan Bóg stworzył przecie

Wiarę i nadzieję;

Ubrał błękit w cudne blaski

A ziemię w kobierce

I dał dowód Swojej łaski

Człowiekowi... serce;

I dał w młodych lat rozkwicie

Marzeń skarb zaklęty

I wzbogacił dalsze życie

W uczuć dyamenty;

I przepasał, gdy pomału

Inne światła gasną,

Wschód wieszczego ideału

Tęczę wspomnień jasną,

Niema szczęścia?... O, ja wierzę

W większą dobroć nieba,

Jest i będzie... tylko szczerze

Szukać go potrzeba.

D. H.

LIST Z WARSZAWY.

(Dokończenie).

Naszyjniki z białych paciorków kamiennych, z włókien roślinnych, pasy, bransolety i naszyjniki z muszelek dowodzą, że czarne nasze siostrzyce wysilają swój dowcip na przyozdabianie swych postaci, którym niewiele chyba uroku dodaje nakrycie czy ubranie głowy zrobione z włókien roślinnych z których warkoczki posplatane są razem z włosami kobiety. Naturalnie, zdjąć ona nie może tego ubrania bez odcięcia włosów splecionych i skręconych z włóknami i, jak p. Janikowski objaśnia w katalogu „zazwyczaj nie zdejmuję go przez całe życie”. Zwyczaj ten mało mi trafia do przekonania!

Nie zachwyca mnie również inna część stroju kobiecego: fartuszki ze skór małpich, przyozdobione muszelkami *Kauri*

i guziczkami europejskimi, (z rodzaju tych, jakie się używają do rękawiczek) które stanowią całe ubranie kobiety z plemienia Mpangue. Robią też podobne osłony z włókien roślinnych naturalnego koloru lub farbowanych, nie a nic nie piękniejsze od skórzanych. Za to pewnym smakiem estetycznym odznaczają się szpilki do włosów z kości słoniowej, bardzo rozpowszechnione wśród elegantek zachodniego brze-

prawdziwie już ozdobami stroju będące, są wyrobem krajowców Akra, ze Złotego Wybrzeża. Ozdoby stroju męskiego noszą cechę dzikich upodobań: zęby lampartów, małp „babu”, dzików, aligatorów, używane są do noszenia na szyi a świąteczny strój głowy mężczyzn, używany podczas uroczystych tańców i na wojnach, a wyrabiany z piór ptaków, upolowanych przez właścicieli, śmiesznie wygląda na głowie kędzie-



Czarny zębaty posąg bogini Kali stał na wysokim głazie...

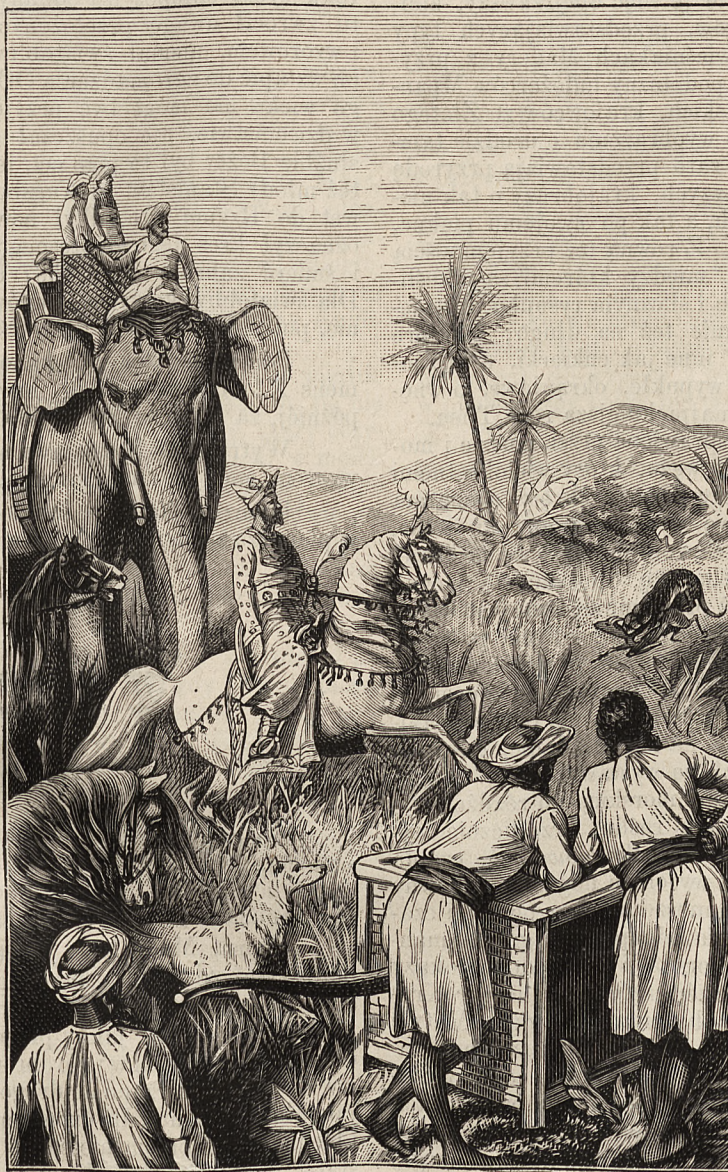
gu Afryki, nie zeszpeciłyby czarnych warkoczów kobiety europejskiej. Pierścień złoty, dar króla murzyńskiego, wykonany w ciągu jednego dnia przez złotnika miejscowego, objawia także niejakię pojęcie o harmonii linii spiralnych, z których składa się oczko pierścienia: Nie mówię tu o pazurze lamparcim oprawnym w złoto na brelok, z wyobrażeniem zodyaku na oprawie, o tegoż rodzaju złotych pierścieniach, o broszkach z drucików srebrnych w kształcie kotwicy, bo te zdają mi się zdradzać czy znajomość wzorów europejskiego złotnictwa, czy też może przechowaną tradycję złotnictwa egipskiego, wysoko rozwiniętego, jak wiadomo. Te ostatnie przedmioty,

rzawym włosom okrytej. Ozdoby na szyję z ogonków zwierzęcych, oraz włosów z brody słonia, w Afryce chyba tylko mogą uchodzić za ozdobę!

Co mi się zaś naprawdę podoba, to tkaniny z włókien roślinnych: hamaki, bawelnice wyrabiane na ręcznych wózkach tkackich, przez krajowców z nad górnego Nigru na Wybrzeżu Złotym, lecz na miejscu mało rozpowszechnione z powodu swęj wysokiej ceny. Maty roślinne, torby z włókien roślinnych używane do noszenia dzieci, kapelusze, czapki z roślinnych włókien starannie wykonane, dowodzą że kobietom murzyńskim nie obce są te zalety, które i u nas uważane

są za niezbędne dla osób, trudniących się robótkami ręcznymi. Patarafki i wachlarze z włókien roślinnych, zupełnie nie brzydkie, uderzają mnie przedewszystkiem harmonijnym doborem kolorów. Katalog mnie objaśnia, że są one mało używane przez krajowców, lecz zato chętnie nabywane przez Europejczyków i w znacznych ilościach wywożone do Europy. Koszyki mniejsze i większe, do różnych gospodarskich uży-

czas obrzędów religijnych u Mpangue, „tam-tam” „kula”, także rodzaje bębnow muszą wydawać ogłuszające dźwięki. Grzechotki używane do tańca, kołatki, zawieszane na szyi domowych zwierząt, grzechocące koszyczki, które kobiety przywiązują sobie do nóg podczas tańca, dzwonki żelazne, używane jako ozdoba przy amuletach, trąbki drewniane, oraz różne instrumenta, których kształtu, ani sposobu używania nie



Książęta indyjscy zwani radża wyprawili kilka wspaniałych polowań..

tków, odrębne kształtem od naszych, nie wydałyby się źle w kuchniach, przedpokojach a nawet na stolikach do robót, a jużco koszyczki z wyspy Madagaskar, są poprostu sliczną zabawką! Jest ich kilkanaście, układanych jeden w drugi, od małego mającego niespełna 2 cale w kwadrat, aż do największego, który dochodzi ćwierćłokciowych blisko rozmiarów. Zato, niewiem czy przydałby się na co unas pas, pleciony przez kobiety Mpangue, a przeznaczony do noszenia dzieci!

Narzędzia muzyczne w osobnej szafie zebrane, wyglądają na to, że możnaby z nich wytworzyć najpyszniejszą „kocią muzykę”. Ogromne bębny „mbeń” używane do tańca i pod-

umiem wam bliżej określić, dowodzą że dzicy ci ludzie doznają także idealniejszych jakichś potrzeb, chociaż w zadośćczynieniu im nie są zapewne wybredni.

Sprzęty domowe, narzędzia gospodarskie, proste niewykintne, dowodzą bardzo niewielkich potrzeb i braku wszelkiego pojęcia o wygodzie. Pomiędzy nimi odznacza się ślicznym kształtem wazonik do kwiatów z wysp Kanaryjskich, wygląda jakby z palonej gliny i wyobrażam sobie, że ładnie by wyglądał z włożonym wewnątrz bukietem fiołków. Łyżki drewniane wyrobu Mpangue, więcej wyglądają na kopystki i sądząc z ich kształtu, przypuszczać by można, że Murzyni

S-ty Stanisław Kostka.

nie zwykli jadać zupy. Szczoteczki do zębów to jest kawałki miękiego drzewa, rozgryzione na końcu w formie pendzelka, grzebienie do czesania włosów, miotelki z liści bambusowych pozwalają mi wierzyć, że poczuwają się do obowiązku utrzymywania w czystości osób swoich jakoteż i chat, czego tylko powinszować im można. Miotelki jednak służą i do innych, wyższych celów: używane są bowiem jako berła przez naczelników plemion podczas rozpraw sądowych i narad publicznych. Mówcy, występując w koło, podnoszą w górę miotelkę dla uciszenia gwaru zebranych.

Narzędzia żeglarskie i rybackie, monety, bity ze skóry hipopotama, nie odznaczają się ani piękną kształtów, ani misternym obrobieniem, pobieżnie je więc obejrzawszy, zbliżam się do fotografii i rysunków, przedstawiających typy i widoki miejscowe. O ile na wieśniakach Madery to przyjemnością oko spoczywa, o tyle podobizny ludożerców Mpangue, kobiet gabońskich, kameruńskich, krajowców ze Złotego Wybrzeża, nie dają pochlebnego wyobrażenia o urodzie tamtejszych mieszkańców. Widoki zato przedstawiają przyrodę i miejscowość tak odrębne od naszych, krajobrazy o tak niezwykłych dla oka naszego liniach, a tak po swojemu piękne, że się ich napatrzyć nie mogę. Z równą też przyjemnością przyglądam się zbiorowi motyli, między którymi są prześlizne, ogromne, o żywych barwach i ślicznym rysunku upstrzenia. Wybór muszli przykuwa mnie też na długo; niektóre jak misterne cacka z porcelany, inne jak cukierki, a są znowu jakieś niewielkie, kształtnie wypukłe, okrągławe, o wnętrzu tak delikatnie różowym jak najpiękniejsza róża Thea.

Cóż! kiedy miłe wrażenie sprawione przez muszle i motyle psuje mi widok olbrzymiego węża, który wielokrotnymi sploty owinał się w koło wysokiego drzewa, skręty ogona ma jeszcze na ziemi, a płaską głowę wyciąga z góry ku tobie. Szkaradne stworzenie! aż zimno się robi na myśl, że są kraje, w których, poszedłszy na przechadzkę, spotkać się można z takim potworem! Nie wiele też przyjemniejszym jest widok różnych węzów *drzewnych, niebieskich, jadowitych, położów, krocionogów, węzłowców, świeczków, termit, gosienic, kameleonów* i tym podobnych gadzin, owadów i poczwary, zakonserwowanych w spirytusie. Człowiek patrząc na nie, dziękuje Bogu, że wtedy tylko narażonym jest na ich oglądanie, gdy sam oglądać je zechce w muzeum, lub na wystawie jakiej. Więcej od nich są zajmującymi polipy morskie, do różdek wydłużonych podobne, ziarna różnych roślin, prześlizne wypchane i prześlizne ptaki z rodziny *Wróblowatych*, czapla niewielka, ale jak przystało „na wysokich nogach” zabawny jakiś sokół z wachlarzem piór, umieszczonym w ogonie i czaszki wielkich ssących zwierząt: słonia, hipopotama, goryla, mandryla, oraz szczeka rekina, piła morska i tym podobne okazy przyrodnicze, pochodzące po większej części z okolic gór Kryształowych, to jest z zachodnio południowej Afryki. Motyle pochodzą z wyspy Fernando-Poo; szkoda tylko, że obok każdego gatunku niema gąsienicy i poczwarki, co uczyniłoby zbiór kompletnym. Muszle zostały zebrane na wybrzeżach rzeki Corisco, a zważywszy ilość zebranych na wystawie okazów (1,200) oraz ich różnorodność, podziwiać należy energię i zabiegliwość, p. Janikowskiego, który wszystko to zgromadził i tak dobrze przechowane do Europy przywieść potrafił. Niełatwe to było zadanie: raz już, po dwuletnim pobycie w Afryce dzicy napadli i spalili dom, a wraz z nim i znajdujące się tam zbiory, których gromadzeniem na nowo zająć się musiał p. Janikowski. Wystawa reprezentuje więc owoc kilkoletniej pracy, a przystępnym do murzynach i życiu ich więcej nauczyć może niż godzina geografii, szczególnie gdy się nie bardzo zważa na wykład... bo i to się czasem zdarza! Nieprawdaż!

Zdarzało się przynajmniej waszej Gołąbce, która teraz stara się okupić winy przeszłości, z uwagą oglądając na wasz użytek wszystko, co przypuszcza że was zająć może lub korzystać jaką wam przynieść. Wiem, że dobre jej chęci cenie nad usługi, ale i wy wiedziecie o tem, że za życzliwość waszą całym, wiernym, szczerze kochającym sercem starszej siostry, płaci wam wasza na zawsze

Gołąbka.

Święty Stanisław Kostka, uważany za patrona młodzieży, urodził się w roku 1550 w Rostkowie, w guberni płockiej, nie-daleko Przasnysza. Pochodził on ze znaniej, starożytnej rodziny: ojcem jego był Jan Kostka, matką Małgorzata z Kryskich. Chłopię od lat najmłodszych okazywało niepospolite zdolności, i chęć poświęcenia się stanowi duchownemu. Ojciec sprzeciwiał się temu, sądził też, że z wiekiem chęć ta przemienie i Stanisław o innym pomyśli zawoździe. W czternastym roku życia chłopczyca oddany został na naukę do Wiednia; tu zwrócił uwagę przełożonych i nauczycieli swą pilnością i wzorowem, niemal świątobliwym postępowaniem. Pragnął on wstąpić do zgromadzenia OO. Jezuitów, ale dla zbyt młodego wieku nie mógł być przyjętym, zamiar jednak powzięty w dzieciństwie, nie opuszczał go ani na chwilę; poświęcić się służbie Bożej był to jego cel, jego jedyne marzenie. Udał się też młody Stanisław do Augsburga i Dellingen, następnie nawet do Rzymu i tu odbył nowicyat, ale Bóg właśnie wtedy oznaczył kres jego doczesnego istnienia, zachorował ciężko i śmierć zabrała go w 1567 roku gdyliczył 17 lat zaledwie. Dla świątobliwego życia i cudów, jakie się działy po jego zgonie, policzony został w poczet świętych.

Podług niektórych, kanonizacyi dopełnił Papież Klemens XI 1714 r., podług innych zaś, nastąpiło to cokolwiek później, za Papieża Benedykta XIII-go.

Wytrwałość Stanisława na drodze cnoty i obowiązku jest wzorem godnym naśladowania.

Uroczystość tego świętego obchodzi kościół katolicki w pierwszą niedzielę po 13-tym listopada.

W INDYACH.

(Dokończenie).

Kończąc te słowa, Kumasy pędził już do wsi Tungara a pięciu, jego wysłańców biegli do lasu Pinktu. Na ten raz wyteżyli wszystkie siły, czując że od ich pośpiechu i udania się zamiaru wójta, zależy byt całej ludności okolicznej.

Thorn, Mac-Ulm i majtkowie z parowca, przebudzeni przez straż zdziwioną zbyt długą nieobecnością kapitana, zachodzili w głowę co się z nim stało, na najdziwniejsze wpadając przypuszczenia, jakby przeczuwając że stało się coś złego. Gotowi byli do walki w jego obronie, nie wiedząc jednakże przeciw komu; gdy ujrzano mądrego Kumasy, machającego zdaleka jakąś białą płachtą, dla oznaczenia pokojowych swych zamiarów, i biegnącego z ptasią nieledwie chyżością. Zbliżywszy się do statecznie, zwięzłemi słowami wnet zawiadomili obecnych co się stało. Okrzyk przerażenia wydarł się ze wszystkich piersi: jak rozbójnicy z Tungara na wieść o pojawieniu się „strasznych”, uznali że to stokroć gorsze jest niż sprawa z Anglikami, tak i ci ostatni, teraz dopiero, poraz pierwszy poczuli strach, prawdziwy *strach*. Wszystkie serca ścisnęły się na myśl o nieszczęsnym kapitanie, którego należało uznać zgubionym; starzy majtkowie nawet, ryknęli płaczem okropnym...

— A przecież może jeszcze możnaby go ocalić — zawołał Kumasy.

— Jak? znasz się na rzeczy? jeżeli jest choć cień nadziei, mów co czynić? — zawołano porywając za broń, bo sama wzmianka o nadziei budziła odwagę.

— Jeżeli go nie zamordowali na miejscu i uprowadzili, to wiedzą go snadź do tajemnej rozbójniczej nory, zwaną przez nich świątynią, aby go oddać na ofiarę swę okropnej bogini „Kali”. Moi ludzie rozstawieni po drodze, wskażą nam dokąd idą, śpieszmy!...

Nikt nie odpowiedział nawet, bo już wszyscy biegli, dążąc za Kumasym i bezwiednie, z przyzwyczajenia porządkując się w szeregi po drodze.

— Nieszczęście! nie zdążymy, w żadnym razie nie możemy zdążyć — rozpaczali majtkowie przypominając sobie, jak wczoraj biegli niby zające, a jednak prześcignieni i to tak znacznie prześcignieni zostali.

— Owszem — odparł Wilko, zrozumiałwszy ich myśl — byle tylko można znaleźć wejście do ich nory... Zdążyć możemy, przecież oni prowadząc jeńca nie biegają, lecz idą, a potem... długie zazwyczaj przygotowania poprzedzają spełnienie ohydnych ofiar...

— A jak ty możesz wiedzieć o tem tak na pewno? — spytał ten i ów zdziwiony.

— Tak coś słyszałem od moich dziadów... — odmrunknął, spuszczając oczy nowonawrócony chrześcjanin. Robert, idący w pobliżu spojrzął w tej chwili na niego, a Wilko zaczerwienił się jak miedź pod tem spojrzeniem. Noc uchodziła, śpieszono co siły, wkrótce napotkano leżącego w trawie Masa, który wskazał Kumasie dalszy kierunek, dalej tak samo objaśnił idących Kiza, w którą stronę poszli „Straszni” ze spętaniem kapitanem, tak Tyso i Raska, jeden w znacznej odległości od drugiego, wskazywali drogę, dalej dopiero, leżący za skałą Tochty, powstał za zbliżeniem się Kumasego z Anglikami i rzekł:

— Wodzu, przysięgam ci na niebo i ziemię, że wiernie pełniłem twoje rozkazy, i w strachu, pewno spać mi się nie chciało, a jednak stało się coś, czego nie pojmuję, czary oczywiście: oto pięciu „strasznym” z młodym kapitanem, w moich oczach zaszli ot tu, za tę skałę, nie wyższą odemnie i nagle zniknęli, nie ujrzałem ich więcej. — Słuchacze zaledwie powstrzymali okrzyk przerażenia, nieduża skała czyli ogromny głaz, leżał na środku pustynnej miejscowości. W sekundę każdy obiegł to miejsce i nic nie odkrył. Zbójcy z ofiarą zniknęli bez śladu.

Jeszcze nikt ani nawet sam Kumasy nie zdążył pomyśleć nad tem niepojętem nieszczęściem, gdy Wilko obiegając ową skałę kilkakrotnie i stukając w piasek kolbą swęj strzelby, przyczem ucho przykładając do ziemi, począł nagle ze zrećznością godną małpy, odrzucać piasek. Robert, Mahora i Rahib pomogli mu natychmiast i wśród ogólnego osłupienia, podważyli wkrótce kolbami spory, płaski kamień i odjęli go na bok. Pod kamieniem znaleźli coś podobnego do ciasnej studni, zaopatrzonej występami u ściany, tworzącymi rodzaj niezgrabnych schodów. Wilko bez namysłu począł spuszczać się pierwszy, szepnąwszy Kumasie:

— Nakryj i zasyp wejście i zostań przy nim! Zwołaj do pomocy twoich, pilnuj żeby nas nie podusili zamknąwszy odwrót!... — W milczeniu, ale bez wahania zaczęli się wszyscy spuszczać w ową czeluść, za przykładem Mahory i Roberta, którzy tuż za Wilkiem znikli w głębi ziemi.

Hm — mruczał Mahora, spoglądając na Wilka, póki jeszcze dostrzegł go w świetle księżyca — co za szczęście, że ci zbrodniarze nie są plemieniem, lecz tylko sektą obrzydliwą... — Wkrótce straszny widok przedstawił się stojącym na schodach jeden ponad drugim: ujrzeni oni przed sobą nagle rozszerzoną i pochodniami oświeconą jaskinię, ręką przyrody wytworzoną w skałę, ręką ludzką przyozdobioną potwornie i przepełnioną tłumem dzikich postaci. Czarny zębaty posąg bogini Kali, olbrzymich rozmiarów stał w głębi na wysokim głazie. U stóp jego leżał silnie skrępowany, ale z oswobodzonemi ustami kapitan, patrzył on spokojnie prosto w kamienne urwiste sklepienie, jakby chciał przez to uniknąć widoku wrogów; tuż nad nim stał schylony dziki, z palcami roztorzonemi, przygotowanemi do schwycenia go za gardło. Wieniec ognisty utworzony na ziemi ze smolnych gałązek i dymnych ziół, otaczał ich obu w około; wewnątrz tego wieńca tuż u piersi kapitana kłębał z pieszczalką w rękę, skurczony inny dziki i wydobywał niemiłe dźwięki: odziany on był jedynie zwojami kilku ogromnych węży, owiniętych około jego ciała w różnych kierunkach i poruszających w takt muzyki szkaradnemi głowami, a syczących żądłach. Przed ognistym wieńcem

stał ogromny dziki udrapowany w długie szaty, i z rękoma w górę wzniesionemi, wyśpiewywał hałaśliwie jakąś pieśń ponurą.

— Gdy śpiew się skończy, palce te gotowe do uduszenia, ścisną szyję kapitana — szepnął Wilko, stojący najniżej, spoglądając na swoich; i widząc, że wszystkie lufy karabinów skierowane są w gromadę i śpiewającego, sam uważnie wziął na cel właściciela palców zawisłych nad gardłem kapitana, i dotykając cyngla, szepnął:

— Ognia!

Huknął zbiorowy wystrzał, potem rozległa się komenda powtórzona:

— Ognia! Ognia!... — Jęki i wycia napełniły podziemie. Odurzony zupełnie kapitan, nakryty w pierwszej chwili ciałem upadającego nań Indyanina, którego palce dopiero co groziły jego szyi, oprzytomniał wtenczas, gdy uczuł nagłe zwolnienie rąk, silnie skrępowanych: to mały Franek wsunawszy się pod nogi walczącym, zdołał najpierwszy dojść do niego i przeciąć mu więzy:

— Do mnie dziecięcki! — zawołał natychmiast wesoło kapitan, uderzeniem pięści wywracając najbliższego wroga i porywając broń jego. Radosny okrzyk „dzieciaczek” był mu odpowiedzią. Anglicy i Francuzi ciągle skupieni, pochwyciwszy tylko kapitana między siebie, strzelali w tłum dzikich wyznawców Kali, cofając się przytem z wolna w górę schodów, wiodących do wyjścia z podziemia i nawołując się starannie, w obawie, aby który nie pozostał w głębi.

Wychodzący na świat cofali się zdziwieni wobec krwawego pobojuwiska, jakie roztaczało się przed nimi na niedużej piaszczystej przestrzeni, okrążającej niewinną skałę, służącą jedynie za znak, około którego istniało skryte wejście do jednej ze strasznych, a tajemniczych świątyń, jakie znajdują się w znacznej liczbie na półwyspie Indyi Wschodnich. To Tungarczycy za radą Wilka, zwołani ptasiemi głosami Kumasego, zaczaiwszy się w pobliskich zaroślach, wypatrywali przybywających po kilku sekcjary, i poznając ich po tem właśnie, że zabierali się odkopywać tajemnicze wejście do nory, rzucali się na nich zapamiętale z bronią w rękę. Walczyli szczerze, mając cel podwójny, wyćpienie szkaradnej najdzikszej z dzikich, wstrętnej wszystkim innym Indyanom, sekty szaleńców, i zasłużenia na względy Anglików.

Thorna, Mac-Ulma i kapitana, wychodzących z jaskini, powitała cała ludność tungarska wielkimi czci oznakami, a wteję chwili, gdy słońce nagle zalało ciemny krajobraz blaskiem ognistego dnia, dwa przenikliwe okrzyki zabrzmiwały w powietrzu, to Klara Mac-Ulm, wyskakując ze złamanego powozu, zaprzęzonego w jednego okaleczonego konia, rzuciła się w ramiona biegnącego ku niej ojca...

Długie i serdeczne było powitanie złączonych po długim rozdziale dwóch rodzin.

O południu dopiero, gdy wszyscy, wraz z Francuzami, zgromadzili się, tak samo jak w początkach swych nieszczęść w jadalni Mac-Ulmów, niemniej jak wówczas szczęśliwi, głuchy szmer na zewnątrz domu zwrócił ich uwagę.

— Co to jest — spytał Mac-Ulm zjawiającego się Mahory.

— To Tungaryanie oblegli znowu nasz dom — odparł tenże z uśmiechem — błagają oni z mądrym Kumasym na czele, aby pan kapitan i panna Klara wstawili się za nimi, aby darowano im życie i dozwolono powrócić do chat własnych.

Klara spojrzała na swoich przyjaciół:

— O!... wiem co zrobić — zawołała radośnie i pobiegłszy do okna wionęła kilkakrotnie białą chustką i wnet szalone okrzyki radości napełniły cały dom i okolice. Dzieci pewni byli teraz opieki znakomitej córki wielkiego sultana, tem większego, że prawdopodobnie nie umieli zdać sobie sprawy z jego godności, mieszając i jednocząc go w swych wyobrażeniach z królową Wielkiej Brytanii.

Powozy naprawiono jak było można naprędce, dostarczono koni i kapitan Lory ściskany przez towarzyszy, pobłogosławiony przez starców, odjechał ze swą załogą, wielce zadowolony i wesoły ze spełnienia dobrego uczynku, ponieważ

jak utrzymywał wedle francuzkiego przysłowia: „wszystko jest dobrze, gdy się dobrze kończy”.

W kilka dni później krajowcy zabierali się gorliwie do pracy i pomagali Anglikom w odbudowaniu mieszkań; wszystko miało skończyć się zgodnie dla tungarskiej okolicy przynajmniej... gdy wtém szereg angielskich mundurów zabłysnął pod lasem, strach paniczny na nowo przepełnił serca. Napróżno Kumasy zapewniał, że to on dał znać do władzy prosząc o pomoc w obawie przed owymi „strasznymi”

— Córka sultańska przyrzekła nam opiekę; białą szatą wionęła; ale czyliż posiada ona dosyć władzy nad ojcem swoim aby go od pomsty nad nami powstrzymać?... Takie pytanie wstrząsało ludźmi, dopóki po wspólnem porozumieniu Klara nie stanęła wśród nich, obok nowoprzybyłego pułkownika i nie objaśniła o co chodzi: oto Tungaryanie, jeżeli znali jeszcze jaką prócz już wiadomej kryjówki strasznej sekty morderców, powinni ją wydać natychmiast i poprowadzić do niej wojsko świeżo przybyłe, gdyż rząd angielski usilnie pracujący nad zniweczeniem wszystkich niehumanicznych zwyczajów miejscowych, ściga tę sektę i zasłyszawszy o przygodzie kapitana Lory, przysłał wojsko do Tungary. O taką przysługę nie trzeba było Indyan miejscowych prosić, gdyż nienawidzą oni tych wyrodných współmieszkańców, nie uważając ich wcale za ziomków, lecz za plemię obce, z wyspy Jawy przybyłe przed wiekami. Jednakże mimo usilnych poszukiwań nie wiadano o istnieniu drugiej jaskini, tę jedną tylko, z resztą zapartych w nią i pilnowanych z rozkazu Kumasy niedobitków, oddano w ręce przybyłego pułkownika. Jeden z pochwyconych w ten sposób żywcem sekciarzy, wydał przecież istnienie nie już jaskini, lecz zboru jakiegoś w głębi lasów, gdzie mordercy przeciw zwyczajowi innych Indyan, schodzili się o północy na nowiu księżyca. We właściwej zatem chwili otoczono las, urządziwszy oblławę i dostawszy się za pomocą siekier do niedostępnej, dla niewtajemniczonych, gęstwiny środkowej, otoczonej żywopłotem zasłaniającym ostrokół, rozrąbawszy i tę przeszkodę, ujrano istotnie garść dzikich sekciarzy przed posągami Kali, wielce wstrętnych kształtów i ozdób, takim samym jak posąg w podziemiu... padł bałwan pod ciosami żołnierzy, a wraz z nim upadła podobno w okolicy Tungary straszna sekta... której obrzędy rząd angielski nieprzestaje tępić na całym półwyspie, niemniej jak zwyczaj palenia wdów na stosie wraz zwłokami męża, i inne tym podobne okrucieństwa i zabobony miejscowe.

Nieprędko jednak spokój wrócił całkowicie w Indyach Wschodnich. Wypadki te należą już dzisiaj do historii i notowane są we właściwych książkach dokładnie. Gdy przecież spokój zakwitł nareszcie w kolonii angielskiej, panowie Thorn; Mac-Ulm wyprawili świetne wesele Klarze i Wiliamowi, dzieciom swym zaręczonym od lat dawnych, a na uczczenie tej uroczystości rodzinnej dwóch poważnych i lubionych powszechnie bogatych domów kupieckich, sąsiedni książęta indyjscy, tak zwani *radża* wyprawili kilka tak wspaniałych polowań że dotąd matki Indyan w Tungara opowiadają o nich cuda niebywałe dzieciom swoim.

ZAGADKA.

Pierwsze wskazuje
Drugie posiada,
Wspak trzecie płynąc
Do Kamy wpada;
Drugie i trzecie
Czerwone kwiecie;
A wszystko grzeje
Gdy się je wdzieje.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Jadwigi Z. dla braciszka Zygmusia.

Z następujących zgłosek: Pe — deb — le — E — kin — Aa — Ług — Ba — hów — ni — Za — Nu — ba — nik — di — czno — Go — ma — rie — Ko — wa — myśl — po — tard — po — O — per — I — ra — man — li — bel — Il — ni — nie — O — Czer — rzec — El — e — zło — żyć wyrazy oznaczające: 1. Miasto w Chinach. 2. Szczyt gór w Ameryce. 3. Jezioro w Ameryce. 4. Miasto w gub. ros. 5. Miasto w Poznańskim. 6. Miasto na Szląsku. 7. Dopływ Bugu. 8. Rzeka w Niem. p. 6 l. p. 9. Nazwa gór w Szwajcarii. 10. Miasto w gub. radomskiej. 11. Wytwór z popiołu i wody. 12. Dwie samogłoski. 13. Cieśnina łącząca Ocean Ind. z morzem Czer. 14. Sławny astronom. 15. Rzeka w Azji. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół tworzą znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go.

Zagadki homonimu:

Waga (Teodor, Antoni, Jakób i t. d.)

METODYCZNY KURS NAUK

obejmujący: naukę religii, naukę o rzeczach, język polski i francuzki, arytmetykę, nauki przyrodnicze, geografję, historyję, kaligrafję i rysunki — wychodzić zaczął w „Przeglądzie Pedagogicznym” od 1-go paźdz. r. b. W „kursie” tym podany jest plan całej nauki, najlepsze podręczniki do każdego z przedmiotów i wskazówki, czego i jak z podręczników tych uczyć należy. „Przegląd Pedag.” zamieszcza artykuły o higienie, wychowaniu i metodach nauczania, postępach pedagogiki zagranicą, grach i zajęciach dla dzieci itd. Udziela *porady* we wszelkich kwestyach wychowawczych. *Pośredniczy* między rodzicami i nauczycielami przez bezpłatne zamieszczanie żądań. *Prenumerata* „Przeglądu”: kwartalnie rs. 1. kop. 50. z przesyłką rs. 1. kop. 75. — *Adres Redakcyi*: Warszawa, Widok Nr. 14.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Maskonur (toporek) (z drzew.) — Zbudzone sumienie. — W imienniku Maryni Ch. wiersz p. D. H. — List z Warszawy. — Śty Stanisław Kostka — W Indyach (z drzeworytami) dokończenie. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Łososie (z drzew.) — Mała nauczycielka, wiersz. — Kasztany p. W. Ł. — Nabożna Ludka, wiersz p. Helenę Bojarską. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów, do której do numeru obecnego dodaje się oddzielna kartka. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

ŁOSOSIE.

— Mamo, proszę o kawałek szynki — mówił siedmioletni Janek, wskazując na talerz, na którym ułożone były różowe plasterki jakiegoś mięsa.

Zaledwie to wypowiedział, jego siostrzyczka Mania o trzy lata od braciszka starsza, zaśmiała się wesoło.

— Ha! ha! ha! Mamusiu, Janek myśli, że to szynka, ja przecież wiem że to łosoś.

— A cóż to jest łosoś? — spytał Janek.

— Łosoś? — powtórzyła Mania. No, to jest łosoś — dodała po chwili.

— A czy łosoś także w wodzie mieszka? — pytał Janek.

— Wszystkie ryby przebywają w wodzie, Janku — odrzekła mama.

— I duże i małe? — pytał dalej.

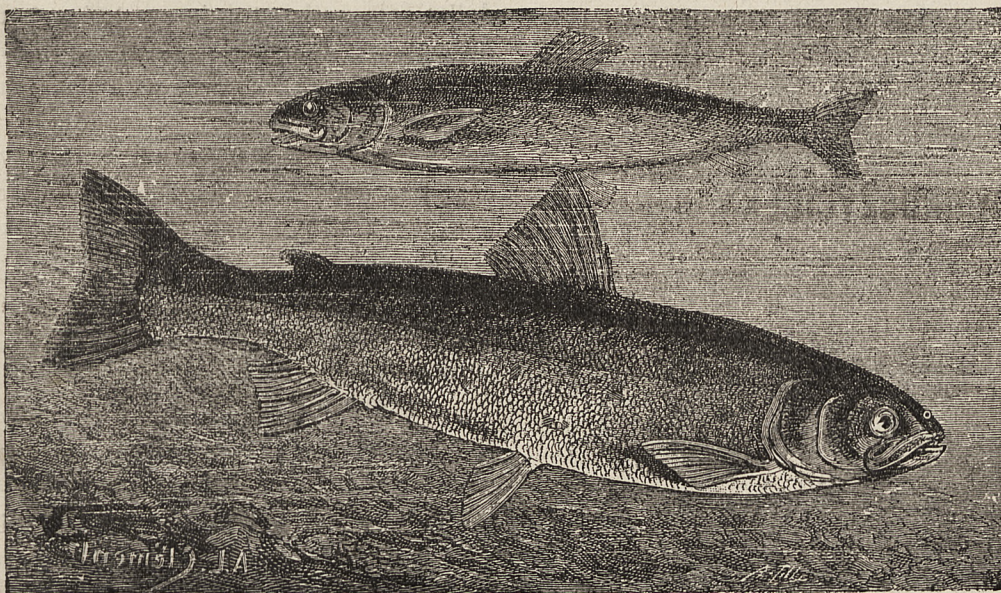
— I duże i małe. Jedne rybki pływają sobie w rzekach...

— Naprzykład w Wiśle, prawda mamó?

— Tak synku. Inne znów w morzu.

— Ja się już uczyłam o morzu Czerwonym, mamó — mówiła Mania. — Tamtędy przechodzili żydzi, gdy uciekali z Egiptu, gdzie kazano im tak ciężko pracować.

— A mnie Mania mówiła — dodał Janek — że mo-



Łososie.

— Łosoś jest rybą, moje dzieci — odrzekła mama.

— Jakto rybą? — zdziwiła się Mania, a Jaś odezwał się:

— Śmiałaś się ze mnie, a sama nic nie wiesz.

— Przepraszam cię, mój Janku, ja przecież nie mówiłam o szynce. Ależ ten łosoś wcale do ryby niepodobny. Rybki mają białe mięso i w niem dużo cieniutkich ości, a tu wcale ich nie widać.

— Bo też różne są ryby — wyjaśniła ją mama. — Łosoś jest bardzo dużą rybą, a ciężki nieraz bywa tak, że ani Janek, ani ty nawet Maniu unieść byście go nie potrafili.

— Ileż on waży? — zapytała Mania.

— Piętnaście do trzydziestu funtów.

— O to dużo! Ja raz próbowałam unieść dziesięć funtów i nie mogłam.

rze, to takie miejsce gdzie jest wiele, wiele wody, tak wiele, że gdy stoisz na jednym brzegu, to drugiego wcale nie widać. I ta woda jest słona. Czy to prawda, mamó?

— Prawda Janku. Łososie zaś żyją i w morzu i w rzekach, przez rok jeden przebywają w słonej morskiej wodzie, a przez drugi w słodkiej, w rzekach, wtedy to rybacy łapią je, potem złowione ryby wędzą i sprzedają. Na tym talerzyku widzisz kawałki wędzonego łososa. Ponieważ łosoś jest dużą rybą, więc też ma i duże ości, które przed wędzeniem wyjmują z mięsa i dla tego ich tu nie widzisz. A teraz pokażę wam łososa na obrazku.

Mama wyszła na chwilę i wróciła niosąc dużą książkę, oprawną w płótno ciemno zielone, na której Janek wyczytał tytuł: „Opis zwierząt”. W tej książce było wiele obrazków a między innymi jeden przedstawia-

jący łososie, które widzicie przedstawione na naszej rycinie.

Patrząc na ten obrazek Janek zamyślił się.

— Mamusiu, mama mówiła, że te łososie takie duże, a tutaj są takie malutkie, że mógłbym je ręką zakryć.

— A pamiętasz Janku twoją fotografię? — zapytała Mania. — przecież ty jesteś duży, fotografia mała, a każdy zaraz widzi, że to ty jesteś na niej przedstawiony.

— Prawda—zgodził się Janek—te łososie na obrazku pewno głodne są bo pootwierały pyszczki. A co one jedzą, mamó?

— Robaki, drobne mięczaki i inne żyjątka, o których posłyszycie gdy podrośniecie trochę.

Dzieci ciekawie pytały jakiego koloru jest łuska łososi. Mama objaśniła je, że mają łuskę drobną, srebrzystą, a pletwy żółtawe z brunatnymi brzegami.

— A teraz chciałbym skosztować tego łososia, mamusiu — poprosił Janek.

Mama w odpowiedzi przekroiła okrągłą, świeżą bułeczkę na połowę, na każdej połowce położyła po plasterku łososia i podała dzieciom. Ta przekąska bardzo im smakowała. Janek utrzymywał, że łosoś o wiele od szynki smaczniejszy.

A. M.

MAŁA NAUCZYCIELKA.

Pięć córeczek miała mama,
Dobrych jak anioły,
Była nazbyt biedna sama,
Żeby płacić szkoły,

Więc najstarsza z siostrzynie,
Uczyła się w szkole,
W domu w wolnej zaś godzinie
W jadalni na dole,

Po wieczery urządzała
Dla siostrzyczek szkółkę,
Razem z niemi, sama mała,
Ucząc się na wspólkę.

Najdokładniej powtarzały
To co było w szkole
I kurs nauk przeszły cały...
Przy jadalnym stole.

KASZTANY.

— Jaka szkoda że kasztany na nic się nie przydają — mówił Włodzio do młodszego brata, przechodząc ogrodową aleją zasłaną liśćmi i kasztanami: — tak piękne i okazałe drzewa, prócz cienia i ozdoby żadnego więcej przynoszą pożytku!

— Niepodobna, aby tak było jak mówisz — odezwał się Boles: — z tak grubych pni i gałęzi muszą chyba wyrabiać jakieś narzędzia lub sprzęty...

— A właśnie że nie, sam słyszałem, jak ojciec mówił wczoraj do ogrodnika, żeby pień tego złamanego przez piorun kasztana, porąbać i spalić, gdyż z tak kruchego drzewa niema nawet i jednej deski.

— Nie zapominaj jednak, że na południu Europy rosną kasztany, których owoc jest bardzo słodki i jadalny, stanowi on tam ważną część pożywienia, otrzymywaną bowiem zeń mąka, zastępuje w zupełności zbożową. Niedawno wszak jedliśmy pieczone a raczej gotowane kasztany, kiedy to mama opowiadała nam o kasztanach w obcych krajach.

— I cóż mi z tego, że tam gdzieś we Włoszech są takie kasztany, gdy naszych wziąć do ust nie można. Zresztą tamte, jak to mówiła mama, należą do zupełnie odrębnego rodzaju.

Boles, przekonany widocznie słowami brata, nie odrzekł nic na to, Włodzio zaś, po krótkiej chwili milczenia, mówił dalej:

— Wiesz co, przychodzi mi świetna myśl, w jak sposób moglibyśmy zużytkować te opadłe z drzew kasztany: w jadalnym pokoju na szafie leży jeszcze w pudełku cała setka żołnierzy, których dawno już dostałeś od wuja na imieniny, nie długo bawiliśmy się nimi bo i cóż to była za zabawa, ustawiać ich ciągle w szeregi, otóż teraz przy pomocy kasztanów urządzimy sobie wojnę: rozdzielimy wszystkich żołnierzy na dwie równe części, ja będę w twoich celował kasztanami, ty w moich, a który z nas dwóch straci wszystkich pierwszy, ten przegra.

— Kasztany zastąpią nam zatem kule, wyborny pomysł! Że też to wcześniej nie przyszło nam do myśli! — zawołał Boles.

— Lepiej późno niż nigdy — odparł Włodzio — teraz właśnie w jesieni najwięcej kasztanów opada z drzew na ziemię, patrz, cała aleja niemi zasłana, zbierajmy ich tak dużo, abyśmy mieli odpowiedni zapas na całą zimę.

To rzekłszy począł gorliwie zbierać leżące na ziemi kasztany, Boles poszedł wnet za przykładem brata, i po półgodzinnej pracy, obaj chłopcy z wypchanymi kieszeniami powrócili do domu.

— Co myślicie zrobić z temi kasztanami — zapytała matka, wchodząc do jadalnego pokoju, w którym Włodzio i Boles wyładowali na stół przyszłe swe kule bojowe: czy nie macie czasem zamiaru upiec je na podwieczorek?

— E, nie, wiemy przecież, że te kasztany nie są do jedzenia — odrzekł Włodzio — lecz przechadzając się dziś po ogrodzie, zastanawiałem się nad tem, że owoce tak pięknych i wspaniałych drzew, jakimi są kasztany, na nic się nie przydają i wynalazłem sposób spożytkowania ich.

— I jakież to?

— Kasztany te posłużą nam za kule do nowej gry w wojnę: Boles będzie niemi rzucał w moich, ja zaś w jego żołnierzy, a który z nas straci wszystkich pierwszy, ten przegrywa.

— Wcale niezły pomysł — powiedziała matka z uśmiechem: mylnie jednakże sądziłeś, mój Włodziu, jakoby te

kasztany nie mogły się na nic przydać, używają je na pokarm dla zwierząt domowych i wyrabiają z nich krochmal.

— Jakto proszę mamy — zawołał Bolesław — więc moje mankiety i kołnierzyki zawdzięczają swą białość i sztywność kasztanom!

— Zapewne, jeżeli użytego do nich krochmalu nie wyrobiono z kartofli lub pszenicy.

— No, to zamiast brać te kasztany do zabawy — odezwał się Włodzio — wolę aby mama kazała służącemu zrobić z nich krochmal, nie będzie przynajmniej potrzeba kupować go w sklepie.

— Dziękuję ci za nie, mój Włodziu — odrzekła matka — bo wyrób krochmalu w domu, gdyby nawet był możebnym, kosztowałby o wiele więcej, niż otrzymana jego ilość, możesz zatem spokojnie bawić się swemi kasztanami.

Czyż potrzebuję dodawać, że tegoż jeszcze wieczoru przyniesione kasztany bębniły po stole, na którym toczyła się zacięta walka pomiędzy żołnierzami Włodzka i Bolesia.

W. Ł.

NABOŻNA LUDKA.

Jak tylko rano wstanie z łóżeczka,
Zaraz paciorek mówi Ludeczka,
I wieczór także, o! bo wie przecie,
Że takim dziatkom dobrze na świecie,
Które w swem życiu myślą o niebie
Bóg im pomaga w każdej potrzebie.

Helena Bojarska.

MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY,

P. A. DO.

(Dalszy ciąg).

Król podaje z powagą rękę wieśniaczce i obchodzi kilka razy naokoło stołu, zasłaniając się parasolką.

— No! Po jakiemu trzymasz parasolkę! Dziubnąłeś mnie w oko. Masz! To mówiąc zuchwała poddanka uderzyła biednego monarchę z całej siły w plecy. Że zaś nasz król był wierutnym mazgajem, zamiast znieść ten cios obojętnie, zapiszczał przeraźliwie:

— Hihihih! Ty obrzydliwa! Będiesz swojego króla biła! Szkaradna jesteś hihih! Już nigdy się z tobą bawić nie będę! Nigdy a nigdy! hihih! Ale myślisz, że ci nie oddam? Masz, masz, masz!

— A to co się dzieje! — zawołała mama uchylając drzwi od swego pokoju. Śliczna mi zabawa... Dzieci zapomniały co ja mówiłam?

— Bo to ona pierwsza zaczęła...

— Nieprawda! Tyś mi pierwszy w oko parasolką dziubnął.

— Ale niechący, a ty mnie umyślnie biłaś!

— A ty mi trzy razy oddałeś!

— Dosyć już tego! Obojeście winni. Proszę pana Stanisława usiąść sobie w tym kąciку i pomyśleć trochę nad sobą. Panna Helena pójdzie do mego pokoju.

— Ach mamó! Już się nie będziemy bili; niech nam mama przebaczy! myśmy się bawili tak doskonale, mieliśmy taki wyborny obiad...

— Moja mamusiu droga, brylantowa, srebrna, cukierkowa, to już ostatni raz! Ja go pierwsza przeproszę, tylko niech się mama nie gniewa!

— No, pamiętajcie! Ostatni raz, ale jak usłyszę najmniejszą kłótnię, to już z pewnością ukarzę, i żadne prośby nie pomogą.

Po odejściu mamy, nastąpiła chwilowa cisza.

Wrócić do przechadzki dobrego króla z babą wiejską, nie miały dzieci ochoty, trochę żalu w sercu po kuksańcach także wpływało na humor, słowem, zabawa już się nie kleiła. Staś, który lubi nadzwyczaj czytać, rozparł się z powagą na kanapie i po chwili zagłębiony w książkę, zapomniał o Bożym świecie. Helenka zajęta się swemi lalkami, i tak w rzeczywistym spokoju minął czas do obiadu, na czem najwięcej skorzystała Marynia. Maleństwo przyzwyczajone sypiać przed południem, w czasie krwawej i hałaśliwej wojny z korsarzami ani oka zmrużyć nie mogło.

O godzinie pierwszej punktualnie podano obiad; zajęcie taty jest tego rodzaju, że wszystko w domu musi iść podług zegarka. Równocześnie z wagą, Jerzy ukazał się w jadalnym pokoju. Mama od godziny była w ogromnej trwodze, gdyż wykłady w gimnazjum kończą się o jedenastą, a w sobotę o dwunastą, niepokoiła się więc mocno, że Jerzy tak długo nie wraca.

— Wyobraźcie sobie, co za niesprawiedliwi są ci profesorowie! To już doprawdy pojęcie przechodzi! Musiałem siedzieć godzinę w kozie... a za co? Panie święty! Muzyka przechodziła przez ulicę, nie mogąc dojrzeć, wylazłem na ławkę żeby lepiej zobaczyć, i ten stary nudziarz, capnął mnie po lekcji na całą godzinę. To już za ostro! A sam to się patrzy przez okno, chociaż starszy od nas, i tyjąc, ale! co ja mówię... sto tysięcy razy najrozmaitsze muzyki słyszał.

Mama i tata stanęli naturalnie po stronie nauczyciela i biedny Jerzy, oberwawszy w dodatku burę w domu, jak niepyszny zamilknąć musiał. Że jednak usposobienie ma wesołe i niełatwo fantazyę traci, zjadłszy więc rosół zapomniał o wszelkich utrapieniach i kłopotach studenckiego żywota.

— Ale ale! Jakie śmieszne psy w kagańcach widziałem. Ten pudel u naszego sąsiada siedział biedny przed sklepem i tylko od czasu do czasu, łapą zedrzczał kaganiec próbował. Potem widziałem ogromnego czarnego, który szurował głową o mur, myśląc zapewne, że to co pomoże; ja mu tłómaczyłem, że to się na nic nie przyda, że przecież przy łowie uczy: „głową muru nie przebijesz”, ale ja swoje a on swoje. Mamó! na co to wymyślili?

— Widzisz jak ty nic nie uważasz — wyrwała się Helenka — przecie wczoraj mama głośno czytała w gazecie, że *magister* wydał rozkazanie aby wszystkie psy chodziły w kagańcach, bo jakby się który wściekł, niko-

Skrzynka do listów.

goby już nie pokąsał, a magistra wszyscy muszą słuchać; widzisz? ja młodsza, a wiem. (Naturalnie w główce Henki magister a magistrat, wyraz którego nie rozumie, to zupełnie wszystko jedno).

— Mamo! a jaka będzie legomina! Ja najlepiej lubię mleczko czekoladowe. A ty?

— A ja kruche ciastka z wiśniami.

— Mamo, a kiedy będą wiśnie? A kiedy my na wieś pojedziemy?

— A mamo, czy dżicy ludzie lubią poziomki? Pewno nie lubią, bo kiedy są ludożercami...

— Mamo, a dla czego był taki król co się nazywał Wstydlivy?

— Mamo, mamo! niech mamusia nie mówi, ja mu powiem! Bo był bardzo dobry i wstydził się jak tylko co złego zrobił; o! wcale nie tak jak ty, co się ze wszystkimi bijesz, a potem jeszcze się nie wstydzisz beczeć jak oaran. Mamo dla czego Chińczycy noszą taki długi warkocz? Widziała mama kiedy Chińczyka? A mamo czy są takie maszyny co obiad gotują?

— Mamo, kiedy będzie koniec świata?

(d. c. n.)

Sz ar a d a:

Dla Heli, Henia i Hanki od cioci Adelci.

Gdy chcesz oznaczyć coś odległego,
Używasz czasem mego *pierwszego*,
Drugi cię dojdzie gdy wieczorna pora
Sprowadza trzodę z pola do dwora.
Wszystko imieniem każdemu znanem,
A i na tronie nawet spotykanem.

Łamigłówka kryształowa.

1. Spółgłoska.
2. Stworzenie wstrętne choć u nas nieszkodliwe.
3.
4. Narzędzie wzroku.
5. Samogłoska.

Rząd środkowy wzdłuż i środkowe litery w poprzek
powinny utworzyć zdrobniałą nazwę ptaków domowych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go

Sz ar a d y:

Sa — ren — ka.

Łamigłówki zegarkowej:

Marek — Moero — Major — Miecz — Morze — Melon
— Mruki — Mleko — Maków — Maros — Magik — Mięki.
Korzeniowski.

Kokoszce czubatéj. Nadesłana nam trawka ogrodowa, jest pewną odmianą *szczeciny*, zwanej po łacinie *Penisetum longistilum*.

Chętnie w swoim czasie zadość uczynimy żądaniu **Pluga** poleskiego.

Słowa, które zasmuciły **Wierzbę płaczącą ze Żmudzi** wywołane zostały własnym jej listem, w którym wyznawałaś nam, Wierzbo miła, że cię coraz to coś innego zajmuje. Nie powiedzieliśmy tego jednak w sposobie przygany, lecz jako żartobliwe napomnienie, którego brać nie należy do serca.

Rusałka z nad Dźwiny miłą nam będzie korespondentką. Każde słówko serdeczne, otrzymane od której z młodych naszych czytelniczek, sprawia nam istotną radość, przekonywa nas bowiem że umiecie, dzieci drogie, sercem płacić za serce tym, którzy was kochają i pracują dla dobra waszego. Łamigłówka niema rozwiązania, więc musimy je mieć pierwś aby widzieć co warta.

Jank. i Ewel. Dow Łamigłówki przejrzelismy, lecz nadmieniamy jak zawsze że lepsze, dowcipniejsze, prędzej bywają umieszczane.

Janek D. przekonał się teraz z własnego doświadczenia że każdy rodzaj pracy łatwiejszym się wydaje, gdy się już do niej zaprawimy. Tak i z obowiązkami bywa: każdy nowo-przyjęty wydaje się ciężkim, a jednak przy dobrej woli podolać mu można. Powodzenia w naukach życzymy, Jankowi, zarówno jak i siostrze jego.

Stasiowi K. posłaliśmy chętnie zagubiony numer; cieszymy się że zaciekawiają go losy „Janka sieroty”

Sosenka dopytująca się o fotografię p. Z. odbierze ją wkrótce.

Nie dziwimy się że **Prawda** czyta „Księżniczkę” bo jest to rzecz bardzo zajmująca. Dobrze spędzasz czas kochana, i choćby praca twoja nie przyniosła pożądaných owoców, to jednak tobie saméj zawsze przyniesie korzyść moralną: zadowolenie, płynące z pocucia spełnionego obowiązku.

Stokrotce z nad Stochodu donosimy że posiadamy kwit świadczący, jako że na Tyg. M. wniesioną została opłata *caloroczna*; tam więc musiała zająś jakaś pomyłka. Prosimy o doniesienie, czy kazać posłać 1-sze półrocze roku bieżącego czy też policzyć złożone pieniądze na 1-sze półrocze r. 1891?

Postaramy się zadość uczynić żądaniu **Czarnotki**, której nagroda poraz pierwszy otrzymana, sprawiła taką przyjemność.

Kochana Różyczko Jerychońska. Bardzo mi się podobał twój pseudonym, dla tego pierwsza piszę do ciebie prosząc o odpowiedź. Napisz mi jak się nazywasz, ile masz lat, gdzie się uczysz gdzie mieszkasz, i co cię najwięcej zajmuje w Wieczorach? mnie bardzo zajęło! W złotéj klatce i Indy. Uczę się w domu, mieszkam w Warszawie, na imię mi Alicya, lecz w domu nazywają mnie Lilą, mam lat jedenaście. Nauki lubię, najlepiej jednak muzykę i roboty. Całuję cię serdecznie. *Galazka Osiny*.

Kochana Królowo Wrózek, Wróźbiarko szczęściu i Halko z Litwy. Pisałam już raz do was, lecz list zapewne zaginął. Jestem już stara kochana królowo, bo już 17-stą wiosnę skończyłam, lecz wcale nie myślę młodszemi pogardzać. Wróźbiarka zamieniła się w Gospozię, prawda? Tobie Halko donoszę że jestem nauczycielką młodszego rodzeństwa, przytem sama się też jeszcze uczę, a na przyszły rok mam inne zamiary. A ty co myślisz? donieś mi proszę. *Iesień*.

Droga Czarna Perelko. Zaszła jakaś pomyłka, bo to nie ja pozdrawiam ciebie i Polną Różyczkę w liście do Goryczki, pomimo to dziękuję ci że się do mnie odezwałaś. Kocham was wszystkie moje panienki. Gdzie mieszkasz? Czy także jak ja na Ukrainie? Do Goryczki i Wańdzi pisałam już dawno, ale liścik nie był drukowany. Odpiszcie mi wszystkie i kochajcie *Rajskie Jabłuszko*.

Kochana Pomarańczarko rzymska. Jestem nową korespondentką Wieczorów i pierwszy raz piszę do ciebie, bo bardzo podoba się mi twój pseudonym. Proszę napisz do mnie wiele masz lat? jak się nazywasz, i gdzie mieszkasz? ja obecnie jestem w Warszawie, nazywam się M. L. i mam lat dziesięć. Proszę cię o prędką odpowiedź, nieznana ci dotąd *Zorza północna*.